

◆ JOE HILL ◆



Król Smutek

ALBATROS

Tytuł oryginału:
KING SORROW

Copyright © Joe Hill 2025
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2026
All rights reserved

Redakcja: Marzena Wasilewska
Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska
Ilustracje i projekt graficzny okładki: Dark Crayon
Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

JEDEN



W pierwszy weekend września Arthur Oakes jechał na zachód, żeby odwiedzić matkę w więzieniu. Ponad trzystukilometrowa podróż wiodła przez południową część stanu Maine, New Hampshire i Vermont i jak zawsze zakończyła się w kolejce samochodów czekających na przejechanie przez wysoką na trzy i pół metra bramę zwieńczoną drutem kolczastym.

Arthur zawsze uważał, że więzienie wygląda jak liceum: trzypiętrowy budynek z cegły z piaskowca, z wąskimi szczelinami zamiast okien. Zwolnił i zatrzymał się za Fordem Ranchero wypływającym z siebie kłęby czarnego dymu. Naklejka na zderzaku głosiła: NIE MA NIC ZA DARMO. Taką naklejkę Arthur rozumiał. Volkswagen Rabbit, którym jeździł, należał wcześniej do jego matki i też miał z tyłu naklejki... całe mnóstwo. Matka nie zmarnowała ani centymetra kwadratowego tylnego zderzaka. Na jednej z naklejek był napis: PODAŻASZ ZA JE-ZUSEM TAK BLISKO JAK ZA MNĄ? Na innej widniała twarz Gandhiego i jego słowa: OKO ZA OKO UCZYNI TYLKO CAŁY ŚWIAT ŚLEPYM. Powinni byli ją zamknąć za zbrodnie przeciwko własnemu samochodowi. Arthura wkurzało, że musi parkować Chrystusowóz na parkingu pełnym samochodów, których pewnie używano do ucieczek z miejsca przestępstwa.

Jeśli z zewnątrz więzienie dla kobiet Black Cricket wyglądało jak duże liceum publiczne, to hol przypominał zatłoczoną poczekalnię na szpitalnym oddziale ratunkowym. Światłówki brzęczały i migały, zalewając wszystko przygnębiającym, skąpym światłem. W telewizji leciał talk-show.

Strażniczka, przysadzista kobieta obcięta na jeża, siedziała na krześle obrotowym za brudnym, podrapanym okienkiem. Arthur stanął w kolejce za parą po dwudziestce i nastoletnią dziewczyną. Gość miał na sobie czarne dżinsy, które opinały patykowate nogi, czarną koszulkę bez rękawów z logo Harleya, a na głowie bandanę. Wsparta na nim kobieta próbowała złagodzić różem do policzków i szminką w kolorze różowej gumy balonowej ostre, kościste rysy. Nastolatka stała z opuszczoną głową, kryjąc twarz za nieumytymi, żółtymi włosami. Miała na sobie przymalą koszulkę Guns N' Roses, odsłaniającą brzuch. Spod opuszczonych na biodra spranych dżinsów wystawał pasek lśniących, czarnych stringów. Arthur uciekł spojrzeniem, zawstydzony, że zwrócił uwagę na coś takiego.

– W tej koszulce nie wejdzie – oświadczyła kobieta za szybą, wskazując na nastolatkę.

Dziewczyna spojrzała na koszulkę Guns N' Roses, jakby spodziewała się zobaczyć na niej coś nieprzyzwoitego, i Arthur uświadomił sobie, że ją zna... nie z imienia, lecz z zawodu. Dziewczyna dowoziła pizzę z Shut-Up-And-Eat-It w Podomaquassy oraz marihuanę i grzybki, jeśli wiedziałeś, co zamówić, a współlokator Arthura, Donovan McBride, wiedział. Raz czy dwa razy w miesiącu zjawiała się u nich w mieszkaniu, żeby dostarczyć Vanowi „parówki w cieście francuskim” i „torbę zieleniny”. Arthur domyślał się, że dziewczyna zaopatrzuje połowę kampusu w zioło i niestrawność.

– Co z nią nie tak? – zwróciła się do strażniczki.

– Żadnych odniesień do broni palnej. Zakryj to albo zdejmij koszulkę.

– Chciałabyś, co? – spytała starsza siostra. Zarzuciła tej od pizzy rękę na ramię i chwyciła ją za pierś. – Popatrzeć na melony Tany.

Żółtowołosa pisnęła i wyrwała jej się.

Kobieta za szybą odwróciła znudzone spojrzenie.

– Przepisy wiszą na ścianie – oznajmiła.

– To koszulka z koncertu – powiedziała Tana, rozmasowując pierś.

– Ja widzę dwa skrzyżowane pistolety. Ubrania z narkotykami, bronią albo wulgaryzmami są zakazane w więzieniu. Volpe, Nighswander, wy dwoje możecie wejść, ale siostrzyczka będzie musiała zostać. – Strażniczka wskazała głową dwuskrzydłowe drzwi po lewej.

– Moja siostra idzie z nami, lesbo – warknęła starsza z sióstr.
– Że jak? – Strażniczka nachyliła się i przyłożyła ucho do szyby.
Arthur pomyślał, że może naprawdę nie usłyszała.
– Walić to, Jayne – odezwała się Tana. – Zaczekam w pick-upie. Ty i Ronnie pogadajcie z mamą. Nie musisz...

– Nie mów mi, co mam robić – rzuciła Jayne Nighswander. – To przez ciebie tu jesteśmy. – Spojrzała na strażniczkę. – Musiałam wstać o jebanej szóstej rano, żeby ją tu przywieźć, bo musi wyjaśnić matce, co znowu odjechała. A przez ciebie ma siedzieć w pick-upie, bo nie podobą ci się jej koszulka?

Kobieta za szybą wstała i jedną ręką sięgnęła do wiszącej u pasa pałki.

– Chcesz zobaczyć się z matką? To dalej kłap jadaczką. Może załatwimy ci celę obok.

– Szósta rano – ciągnęła Jayne. – Trzy godziny jazdy i jeszcze muszę się wyklócać z jakąś pieprzoną piz...

– Może wziąć moją bluzę – odezwał się Arthur, zanim zdążyła dokończyć i narobić sobie większych kłopotów.

Wtrącił się, ponieważ dziewczyna od pizzy zamknęła oczy, zwiesiła głowę tak, że niemal dotykała brodą piersi, i przygarbiła się jak dziecko słuchające kłótni rodziców. W tej chwili nie wyglądała jak dziewiętnastolatka, ale jak przerażona dziewięcioletnia dziewczynka i nie mógł tego znieść.

Jayne Nighswander zmierzyła go wzrokiem, lecz Arthur nie potrafił określić emocji, które zobaczył w jej jasnoniebieskich oczach. Było w nich coś podobnego do ciekawości, jakaś zimna, gadzia kalkulacja, a nawet błysk rozbawienia.

Brzydki rumieniec na twarzy strażniczki zaczął blednąć i kobieta wróciła na krzesło.

– Nie widzę broni, nie widzę problemu – powiedziała.

Arthur ściągnął bluzę. Należała do jego matki i czasami miał wrażenie, że nadal nią pachnie. Że pachnie kaplicą, starymi śpiewnikami i sosnowymi ławkami. Na plecach miała kontury Afryki i wychylającą się zza nich twarz Steve’a Biko.

Tana Nighswander nie podziękowała mu. Włożyła bluzę, nie podnosząc głowy, i nawet na niego nie spojrzała. Chłopak Jayne, Ronnie

Volpe, przez chwilę spoglądał na jej plecy, po czym zawołał schrypniętym głosem palacza:

– Eddie Murphy! Uwielbiam tego posranego skurwiela.

Strażniczka wskazała kciukiem drzwi.

– Możecie iść. Następny.

Gdy cała trójka odeszła od okienka, Jayne Nighswander odwróciła się i posłała Arthurowi drapieżny, wilczy uśmiech.

– To było cholernie miłe z twojej strony, koleś. Kiedyś będziemy musieli ci się odwzajemnić.

Pchnęła Volpe’a i siostrę przez drzwi i chwilę później Arthur stracił ich z oczu.

Strażniczka za szybą z pleksiglasu zacisnęła zęby i pokręciła głową.

– Przyjechałem zobaczyć się z mamą, doktor Erin Oakes – powiedział Arthur.

– Taaa, wiem, do kogo przyjechałeś. Do matki świętej. – Przesunęła w jego stronę podkładkę do pisania. – Podpisz tutaj, kretynie.

Ostatnie słowo mruknęła pod nosem, ale Arthur i tak je usłyszał i przez chwilę zastanawiał się, czy się nie przesłyszał.

– Słucham?

– Po co to zrobiłeś? – spytała. Sprawiała wrażenie szczerze dotkniętej. – Czemu nie pilnujesz własnych spraw?

– Ach – bąknął Arthur. – Nie wiem. Chciałem tylko pomóc. Tak postąpiłaby moja mama.

– Chłopcze – strażniczka spojrzała na niego – myślisz, że twoja matka siedziałaby tu, gdyby podejmowała takie świetne decyzje?

DWA



W sali widzeń stało sześć stolików ze stali nierdzewnej przyśrubowanych do lepących się płytek podłogi. Arthur usiadł tam gdzie zawsze i ledwie zwracał uwagę na siedzących przy sąsiednim stoliku Nighswanderów. Jego matka była jedną z pierwszych osadzonych, które przeszły przez drzwi, z krótko przyciętymi włosami, gibka i swobodna, w niebieskim kombinezonie.

Opadła na krzesło naprzeciw niego, pocałowała się w czubek palca wskazującego i dotknęła nim palca Arthura. W sali widzeń kontakt fizyczny był zakazany, ale nawet jeśli któryś ze strażników coś zauważył, nie odezwał się ani słowem. Erin Oakes i Arthur siedzieli naprzeciw siebie – szczupła, biała kobieta odsiadująca siedem lat za nieumyślne spowodowanie śmierci i jej syn, długonogi, tyczkowaty, czarnoskóry chłopak kończący własną czteroletnią odsiadkę w jednym z najbielszych college'ów na Wschodnim Wybrzeżu, w którym co semestr trafiał na listę dziekana, w razie gdyby ktokolwiek miał pytania co do jego prawa pobytu na uczelni.

– Tęskniłam za tobą całe lato – powiedziała. – Jak tam Anglia?

– To jedyny kraj na świecie, gdzie myślą, że spam to jedna z pięciu podstawowych grup żywności – odparł Arthur.

Co roku spędzał lato w Wielkiej Brytanii u dziadków ze strony ojca, imigrantów z Jamajki, którzy przybyli do Wielkiej Brytanii w latach pięćdziesiątych, żeby odbudować to, co zniszczyły Szkopy. Jego ojciec też tam był, w Kent. Miał nowiuteńki marmurowy pomnik na cmentarzu pełnym pochylonych, omszałych, liczących setki lat nagrobków.

– Robiłeś coś fajnego?

– Spędziłem popołudnie w Bibliotece Brytyjskiej, szukając ilustrowanych rękopisów. Chyba napiszę o nich w tym semestrze pracę na zajęciach Książka jako Obiekt.

– Miałam nadzieję, że przeleciałeś jakąś rudowłosą szkocką barmankę i zostałeś aresztowany za udział w protestach przeciwko niekompetencji Margaret Thatcher w walce z przestępczością. Może jeszcze trafisz na cyncate barmanki, kiedy dostaniesz się do Magdalen.

– Jeśli dostanę się do Magdalen – sprostował. Kulił się w sobie na samą myśl o tym, że mógłby studiować na uczelni, na której jego ojciec zdobył tytuł magistra literatury angielskiej. Jako nastolatek Arthur odrabiał prace domowe pod oprawionym w ramę plakatem C.S. Lewisa i eksperymentował nawet z noszeniem tweedowych marynarek. To były mroczne czasy. – Zresztą nie wyjadę, jeżeli nadal tu będziesz.

– Luty – powiedziała.

– Luty – powtórzył.

To w lutym miało się odbyć pierwsze przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego. W lutym Erin będzie wiedziała, czy wyjdzie wcześniej, a niedługo potem Arthur dowie się, czy został przyjęty do Oksfordu.

– A u ciebie? Zadźgałaś kogoś na spacerniku? – spytał.

– Nie, ale założyłam klub książki! Wczoraj wybrałyśmy pierwszą lekturę.

– Tak? I co wygrało? *Jak zdobyć przyjaciół i przekonać do siebie komisję do spraw zwolnień warunkowych? Czy może Jak dać nogę z więzienia: dziesięć prostych wskazówek?*

– Zaproponowałam *Kapitalistyczny patriariat i argumenty za socjalistycznym feminizmem...*

– Na pewno zgarnęłaś wszystkie głosy.

– ...ale przegrałam z *Żonami z Hollywood* Jackie Collins. To nic. Nadal będę miała okazję porozmawiać o tym, jak kultura odziera kobiety z osobowości. Już sam tytuł wiele mówi: kobiety definiowane przez małżeństwa, nie przez swoje idee.

– Myślisz, że dlatego chcą czytać Jackie Collins?

– Nie. Chcą ją czytać, bo to najbardziej sprośna książka w więziennej bibliotece. – Zniżyła głos do kpiarskiego szeptu. – W więzieniu

krążą trzy kopie i wszystkie są nieźle wypalcowane. – Mrugnęła szelmowsko.

– Cholera – rzucił Arthur. – Prawie zapomniałem. Moje zdjęcie trafiło do gazety. Napisali artykuł o rzadkich książkach w uczelnianej bibliotece i zacytowali mnie.

Na ostatnim roku w College’u Rackhama Arthur został starszym pomocnikiem bibliotekarza odpowiedzialnym za stworzenie cyfrowego spisu rzadkiego zbioru książek – miał skopiować je na wielkie dyskietki w nowym komputerze biblioteki. Był to katalog fiszkowy przyszłości i dobry powód, by w „The Podomaquassy Record” pojawił się artykuł o zbiorze wyjątkowych przedmiotów, wśród których był list od Walta Whitmana, wczesny maszynopis *Our Town* i, oczywiście, dziennik Enocha Crane’a.

Arthur wstał, poklepał się po kieszeniach i usiadł z powrotem.

– Cholera – zaklął znowu. – Musiałem zostawić go w samochodzie.

– Dobrze, że jedno z nas trafiło do gazety i że nie była to kronika policyjna – odparła Erin. – Jestem z ciebie dumna.

Ktoś odchrząknął głośno. Arthur odwrócił się i zobaczył stojącą za nim Jayne Nighswander z siostrą u boku; trzymała rękę na karku Tany, jakby chciała ją pocieszyć albo zatrzymać w miejscu.

– Przepraszam, doktor Oakes, tak? Mam rację, że jest pani tutaj kimś w rodzaju więźnia politycznego? Została pani skazana za przekonania, że się tak wyrażę. – Roześmiała się, jakby powiedziała coś zabawnego.

– Zostałam skazana za wtargnięcie i zniszczenie mienia federalnego.

– I nieumyślne spowodowanie śmierci.

Erin przeniosła spojrzenie z Jayne na Tanę i znowu na Jayne. Tana wciąż kryła twarz za strąkami brudnych włosów. Ronnie Volpe i matka jego dziewczyny obserwowali sytuację ze stolika obok. Pani Nighswander była drobną kobietą o szczupłych, wymizerowanych rysach twarzy i pozbawionych koloru ni to blond, ni to siwych włosach.

– Tak, zginął człowiek – przyznała Erin. – Choć byliśmy nieuzbrojeni i nie zamierzaliśmy uciekać się do przemocy, zdarzył się wypadek. Jeden ze strażników stracił panowanie nad bronią i został postrzelony.

– A pani została na miejscu?

– Żeby uciskać ranę.

– Ale mężczyzna i tak zmarł, prawda? Przyszło pani do głowy, że może lepiej by było, gdyby pani po prostu uciekła?

– Parę razy. Ale wtedy trafiłabym do innego więzienia. Mentalnego. Jayne pogroziła jej palcem.

– No tak... Widzę, że zaczynamy się rozumieć. Nie chciała pani, żeby ktokolwiek zginął, a mimo to postanowiła pani włamać się na teren federalny i umarł człowiek.

– Przepraszam – odezwał się Arthur. – Ale mama i ja chcielibyśmy porozmawiać w spokoju.

Jayne jakby w ogóle go nie słyszała.

– Była pani kimś w rodzaju księdza, tak? Czy raczej profesorką?

– Wykładałam etykę praktyczną i teologię w Dartmouth. Jestem też pastorką w Kościele episkopalnym.

– Po tym, co się stało, nie pozbawili panią prawa do bycia duchowną?

– Jeszcze się do tego nie zabrali. – Erin zmrużyła oczy i próbowała uśmiechnąć się do Tany. – Nic ci nie jest, skarbie? Świetna bluza. Mam taką samą.

– To twoja bluza – powiedział Arthur, ale zabrzmiało to tak, jakby mówił do siebie; nikt nawet na niego nie spojrział.

– Nic jej nie jest – odparła Jayne. – A więc wystarczająco długo wykładała pani etykę, żeby pomóc nam rozwiązać pewien problem. Chciała pani dobrze, tylko że w trakcie wtargnięcia doszło do wypadku i jakiś biedak odwalił kitę. Nie chciała tego pani, ale jednocześnie jest pani za to odpowiedzialna.

– Chyba tak. Decydując się na coś, człowiek musi się liczyć z ewentualnymi konsekwencjami: tymi, które ma nadzieję, że się wydarzą, i tymi nieoczekiwanymi.

– Otóż to. – Jayne pochyliła się, żeby spojrzeć na siostrę. – Wiesz? Głos wykształconego rozsądku.

Tana zadarła brodę i spojrzała na Erin wilgotnymi, zaczerwienionymi oczami.

– Walić to – rzuciła. – Walić ją i ciebie. Idę do samochodu.

Wyrwała się siostrze i ruszyła w stronę drzwi. Gdy mijała stół, przy którym siedziała jej matka, ta kopnęła ją pod lewe kolano.

Noga ugięła się pod dziewczyną i Tana upadła na podłogę. Stojący kilka metrów dalej strażnik nie odrywał wzroku od telewizora zawieszonego na stelażu w kącie pomieszczenia.

– Spaliłaś mój szajs, pieprzona kretynko! – krzyknęła matka Tany, podnosząc się z krzesła. – Masz mi oddać kasę, wszystko, co do centa. Wali mnie, czy będziesz dawała dupy włóczęgom za dziesięć dolarów. – Cisnęła w głowę córki papierowym kubkiem z kawą. – Masz, ty chciwa suko.

Arthur nie pamiętał, jak zerwał się od stolika. Nagle, nie wiadomo jak, znalazł się między nimi. Był to jeden z tych skoków w czasie, jakie często zdarzają się w snach, choć chłopak nie pamiętał, by coś takiego przydarzyło mu się na jawie.

Stał odwrócony plecami do matki Tany, by pomóc dziewczynie podnieść się z podłogi. Wyczuwając, że pani Nighswander wstaje z krzesła, wyciągnął za siebie rękę i uniósł dłoń, jak policjant kierujący ruchem. Nie chciał nikogo skrzywdzić. Drugą ręką chciał chwycić Tanę za łokieć.

– Spierdalaj – syknęła i odepchnęła go.

Zrobiła to tak gwałtownie, że się zatoczył i wyciągniętą ręką uderzył w twarz matki dziewczyny. Głowa kobiety odskoczyła do tyłu. Jej łydki zahaczyły o stojące za nią krzesło i straciła równowagę. Krzesła były przykręcone do podłogi, podobnie jak stół, więc pani Nighswander przeleciała przez nie i runęła na podłogę.

– Mój nof! – wrzasnęła. Krew tryskała z jej małego, kościstego nosa, który nagle wydał się Arthurowi niepokojąco krzywy. – Ty fku-fyfnu!

Zerwała się z podłogi i rzuciła na chłopaka, zanim jednak zdążyła chwycić go za szyję, strażnik złapał ją i dosłownie uniósł z podłogi. Jayne odepchnęła Arthura, zacisnęła palce na ramieniu siostry i posłała mu wściekle spojrzenie.

– Po chuja wpięprzasz się w nie swoje sprawy?

Strażnik odciągał wierzgającą wściekle więźniarkę. Dwaj kolejni wpadli do pomieszczenia przez tylne drzwi. Jeden z nich złapał szamoczącą się kobietę za stopy, tak że wyglądali jak pracownicy firmy przeprowadzkowej niosący zwinięty dywan. Trzeci strażnik wyjął pałkę i zaczął nią uderzać w żeliwny kaloryfer.

– Osadzone, pod ścianę! Natychmiast! Koniec widzenia. Odwiedzający, proszę udać się do wyjścia.

Pani Nighswander wiała się i szamotała w rękach niosących ją mężczyzn. Z jej ust dobyło się wycie, ale ten wściekły wrzask ucichł, gdy

zniknęła za drzwiami. Matka Arthura i inne osadzone powoli ruszyły pod przeciwległą ścianę. Pocałowała czubek palca i uśmiechając się ze zmęczoną rezygnacją, wycelowała go w stronę syna.

Jayne Nighswander klęła i razem z siostrą szła w stronę drzwi. Ronnie puścił Arthurowi oko, po czym ruszył za nimi.

– Nie ma co, koleś, masz podejście do kobiet. W życiu nie wkurzyłem więcej niż dwóch naraz. Ty chyba właśnie zgarnąłeś całą pulę.

Arthur spędził kolejne czterdzieści minut w poczekalni, wypełniając raport ze zdarzenia. Kiedy wyszedł, z niepokojem wypatrywał siostr Nighswander, lecz te dawno już odjechały.

Był w połowie drogi do domu, gdy uświadomił sobie, że Tana Nighswander nadal ma jego bluzę ze Steve'em Biko. A co do artykułu, który chciał pokazać matce, tym o uczelnianej Bibliotece Brooksa, to minął tydzień, zanim miał powód, żeby o nim pomyśleć.

TRZY



Van McBride był otoczony.

Arthur znalazł go w stołówce w Arundel Hall, przy jednym ze stołów, siedzącego naprzeciwko Donny McBride i Allie Shiner... dziewczyny tak pięknej, że zdaniem Arthura już samo patrzenie na nią było niebezpieczne. Nie wiadomo dlaczego ludzie w towarzystwie Allie robili się niezdarni, Arthur widział to na własne oczy. Vanowi przydarzało się to cały czas. Raz, kiedy wychodząc z pomieszczenia, zerknął na Allie, nie trafił w drzwi i wyrzucił głowę w futrynę tak mocno, że musiał iść do pielęgniarki, żeby zrobiła mu zimny kompres.

Donna też była niczego sobie, chociaż Arthur nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby się z nią całować. Za bardzo przypominała Vana. Była trzy minuty starsza od brata bliźniaka i w słabym świetle można było ich pomylić. Ostatniej wiosny w klubie studenckim jeden z chłopaków Donny przysiadł się do Vana i położył mu dłoń na udzie, zanim uświadomił sobie, że dobiera się do niewłaściwego członka rodziny McBride'ów. „Nie przeszkadzaj sobie – zachęcił go Van. – Od miesięcy nikt się do mnie nie przystawiał”.

Wokół Allie i bliźniąt zebrało się kilkanaście osób. Donna miała przed sobą połowę talii kart, a druga leżała przed Vanem, jakby brat i siostra grali w wojnę. Arthur patrzył, jak Donna sięga po leżącą na wierzchu kartę i zerka na nią, zasłaniając ją przed bratem. Chwilę później spojrzeli sobie w oczy.

– Trójka pik – powiedział Van.

Donna obróciła kartę i położyła trójkę pik na stole tak, by wszyscy mogli ją zobaczyć. W sali rozległy się brawa i okrzyki radości.

Tym razem to Van wyjął kartę z własnej talii i rzucił na nią okiem.

– Czarna. Jest czarna – stwierdziła Donna. – Widzę okrutnego skurwiela, kogoś przyzwyczajonego, że wszyscy wokół niego skaczą. Król? Król trefl?

– Och, słuchajcie tych bzdur! – rzuciła Allie.

Van cisnął na stół króla trefl.

Jego siostra ledwie zdążyła rzucić okiem na kolejną kartę, gdy Van pokręcił głową i mruknął:

– Czwórka karo.

Donna wyrzuciła kartę w powietrze. Pryszczaty dzieciak z pierwszego roku złapał ją i pokazał innym: czwórka karo.

– Potrafisz czytać mi w myślach? – zapytał ktoś.

Arthur odwrócił się i zobaczył, że to Colin Wren z ostatniego roku. Colin wyciągnął kartę z talii Vana i spojrzał na nią.

– Nie. To działa tylko z Vanem. Telepatia między bliźniętami.

– Teraz opowiesz im o tym, jak wcześniej byliśmy bliźniętami – powiedział Van, przeciągając samogłoski.

– Aha. – Donna pokiwała głową.

– Wcześniej? – Ktoś ze stojących obok zarechotał. – Jak to wcześniej?

– Przed tym życiem. Byliśmy rodzeństwem w Salem. Zabili nas, bo kochaliśmy szatana – wyjaśniła rzeczowo Donna.

– Faj – jęknęła dziewczyna siedząca przy rogu stołu. – To straszne. Ludzie zachowują się tak, jakby szatan był czymś naprawdę śmiesznym. Nie mają pojęcia, że coś takiego może im się przydarzyć.

– Że co takiego może im się przydarzyć? – spytał Colin.

– Potępienie – odparła dziewczyna. Dotknęła złotego krzyżyka zawieszzonego na szyi. – Myślę, że opowieści o diable to bajki. Ale w Kalifornii jest przedszkole, w którym nauczyciele zmusili dzieci do seksu, a później kazali im zadłgać kozła. Szatan wraca w wielkim stylu.

– Tak jak spodnie dzwony – zauważył Van. – To tylko dowód na to, że prawdziwe zło nigdy nie odchodzi na dobre.

Dziewczyna zmarszczyła nos, pokręciła głową i odeszła.

– Wiele się u was dzieje – rzucił Colin. – Telepatia, reinkarnacja i kult szatana dla dodania pikanterii. Nieźle.

Miał kanciastą budowę trumny: był szeroki w ramionach i wąski w biodrach. Jego tyśa głowa lśniła w świetle lamp sufitowych. Arthur

widywał go na organizowanych przez uczelnię zbiórkach charytatywnych, w towarzystwie dziadka, emerytowanego profesora psychologii, jasnoookiego staruszka, który nosił muszki i dwurzędowe marynarki z poszetką. Colin mieszkał z nim niedaleko kampusu, na przylądku, w ogromnej posiadłości zwanej Dziką Różą. Zdaniem Arthura Colin był nieco onieśmielający i bardziej niż studenta przypominał profesora.

– Od jak dawna potraficie czytać sobie w myślach? – zapytał.

– Odkąd byliśmy dziećmi – odparła Donna. – Mieliśmy nawet nasz własny język. Pamiętasz, Van? *Di biyah?*

– *Di kisa? Manjay mwen* – odpowiedział jej brat.

Arthur odwrócił wzrok. Może dla innych brzmiało to jak sekretny język bliźniąt, ale jemu kojarzyło się z językiem kreolskim z Luizjany, a McBride'owie pochodzili z Pensacoli.

– Zajebiste – zachwycił się Colin. – Mam mnóstwo teorii. Widzieliście kiedyś karty Zenera? Mój dziadek ma talię.

– Co to są karty Zenera? – spytała Donna.

– Służą do testów zdolności paranormalnych. Musicie kiedyś do mnie wpaść. Chciałbym zmierzyć pełen potencjał waszych możliwości w kontrolowanych warunkach.

– Ja też mogę przyjść? – spytał Arthur. – Chciałbym zobaczyć, jak mierzysz pełen potencjał możliwości Vana.

– Już został zmierzony – oznajmił Van. – W dziesiątej klasie. Mierzyliśmy się z chłopakami linijką w szatni. Nędzne siedemnaście centymetrów. Dowód na to, że diabeł może istnieje, ale Boga nie ma na pewno.

CZTERY



Na trzecim roku w College'u Rackhama Arthur i Van wynieśli się z akademika i zamieszkali w domu w stylu kolonialnym, kilometr od uczelni. W którymś momencie w latach siedemdziesiątych fasadę budynku pomalowano na nienaturalny odcień morskiej zieleni, który wyglądał, jakby miał świecić w ciemnościach, i podzielono budynek na dwa mieszkania dla studentów – jedno na górze, jedno na dole. Na piętrze zamieszkały trzy dziewczyny. Na początku semestru ostro bałowały: krzycząc na całe gardło, skakały z mebli i słuchały Frankie Goes to Hollywood tak głośno, że szyby w oknach drżały. Pod koniec września w mieszkaniu na górze zapanowała jednak atmosfera zmęczenia i opuszczenia. Jedna z dziewczyn wypadła z okna na imprezie w kampusie, złamała kręgosłup i wróciła do domu. Druga spotykała się z chłopakiem z Uniwersytetu Maine i właściwie nie bywała w domu. Trzecia studiowała biologię morską i raz w tygodniu spędzała trzy dni na łodzi. Van twierdził, że mu ich brakuje i że fajnie było mieć w pobliżu głośne, radosne i pewnie napalone laski; podobno pobudzały jego wyobraźnię i radowały serce.

Arthurowi nie przeszkadzał ten nowy spokój, a kiedy zadzwonił telefon, korzystał właśnie z ciszy, by rozwiązywać zagadki w języku staroangielskim. Uwielbiał to, jak starodawne słowa układały się w jego głowie i na języku. Na przykład słowo „smutek” brzmiało w porządku, lecz *bitre breostcaere* – przejmująca troska o pierś – budziła w nim coś innego, głębszego, coś z czasów, kiedy ludzie żyli we własnych ciałach, nie w głowach. Kiedy przez jakiś czas czytał teksty w staroangielskim, nieraz przyłapywał się na tym, że myśli w tym

języku. Był niczym mnich z opactwa w Dorset przepisujący manuskrypt przed wieczornym nabożeństwem.

Sięgnął po telefon zawieszony na ścianie nad kuchennym stołem i odebrał po drugim sygnale. Dziewczyna z mocnym jankeskim akcentem bez wstępów przeszła do rzeczy.

– Chcesz bluzę z powrotem?

Potrzebował chwili, żeby zorientować się, z kim rozmawia i o czym mówi dziewczyna.

– Tę z Biko?

– Wiem, kto to. Koleś z piosenki Petera Gabriela. Nie jestem głupia tylko dlatego, że nie jestem z przedmieścia.

– Nigdy nie mówiłem... przepraszam. Możesz mi przypomnieć, jak masz na imię?

– Tana. Tana Nighswander. Wiesz, gdzie jest Shut-Up-And-Eat-It? Na rogu McDonald i Lang. Wpadnij koło siódmej, kiedy kończę zmianę. Oddam ci bluzę.

– Chyba dam radę.

– Chyba? – rzuciła z niewytłumaczalną pogardą. – Gdybyś nie pożyczył mi tej bluzy, nie poszłabym na spotkanie z matką. Bardzo ci dziękuję. I wiesz co? Dziś to ja stawiam kolację. – W jej ustach zabrzmiało to niczym groźba.

Shut-Up-And-Eat-It znajdowało się półtora kilometra dalej, w sąsiednim miasteczku, Gogan, ale popołudnie było tak przyjemne – przechodziło do głowy słowo „wspaniałe” – że Arthur postanowił zostawić Chrystusowóz na podjeździe i iść pieszo. Ostatnie dni września stały jedną nogą w lecie, a drugą w jesieni. Wczesnym wieczorem światło słoneczne rozlewało się po ziemi ciepłą, złocistą mgiełką. Liście pyszniły się kolorami jesieni, a powietrze było tak słodkie i rześkie jak soczysty grzyb świeżo zerwanego jabłka.

Znalazł Shut-Up-And-Eat-It w niedużym centrum handlowym między punktem realizacji czeków a sklepem monopolowym. Wszedł przez drzwi z pleksiglasu do długiego pomieszczenia, nieromantycznie oświetlonego zawieszonymi pod sufitem jarzeniówkami. Na talerzach pod lampami grzewczymi obracały się pizze. Na jednej ze ścian rozdziawiała paszczę pani Pac-Man. Tana Nighswander stała na kasie.

– Dostanę kanapkę steak bomb, dużą Colę i bluzę z Biko? – zapytał.

Uważał, że to całkiem niezły tekst – po drodze przeciwiczył go kilka razy – ale dziewczyna przyjęła zamówienie ze stoickim spokojem.

– Kończę za kwadrans – rzuciła. – Twoja bluza jest w samochodzie, na tyłach budynku. Jak chcesz, możesz po nią skoczyć.

Zaczekał wystarczająco długo, żeby odebrać kanapkę – kiedy wyjął banknot dziesięciodolarowy, Tana pokręciła głową – po czym przeszedł słabo oświetlonym korytarzem, obok łazienki i ciemnego składziku. Otworzył drzwi przeciwpożarowe i wyszedł na wysypyany żwirem parking na tyłach lokalu.

Nie liczył na towarzystwo, tym bardziej więc zaskoczył go widok Ronniego i starszej siostry Tany, Jayne, stojących przy starym Fordzie Ranchero. Przypomniawszy sobie, że widział już ten samochód, pod zakładem karnym Black Cricket. NIE MA NIC ZA DARMO. Ronnie trzymał w zębach papierosa, a głowę miał odchyloną, tak że dym ulatywał w niebo. Jayne miała na sobie obcisły biały top, na który narzuciła rozpiętą bluzę z Biko. Siedziała na masce samochodu z pokrytą wilgocią butelką piwa między udami.

Podawali sobie zdjęcia robione Polaroidem i minęła chwila, zanim zauważyli Arthura.

– O, hej! To Arthur Oakes! Jak leci? – spytał Ronnie.

Arthur był zaskoczony, bo im się nie przedstawiał. Nie wiedział też, jak Tana znalazła jego numer telefonu. Powitał Jayne skinieniem głowy.

– Fajna bluza – powiedział.

– Aha. Coraz bardziej mi się podoba – odparła.

Miał gdzieś, czy bluza się jej podoba, bardziej martwiło go, co mógłby w niej znaleźć, gdyby teraz ją wziął.

Wiedział, że czekają, aż zapyta, co oglądają, nie miał jednak ochoty grać w ich gierki, tak jak nie miał ochoty prosić o bluzę. Prośbienie o cokolwiek wyglądałoby tak, jakby zdawał się na ich łaskę. Stracił apetyt, ale i tak odwinął kanapkę i zatopił w niej zęby.

– Hej, stary, chcesz zobaczyć naprawdę seksowny tyłek? – spytała Jayne. – Tylko spójrz. – Rzuciła w niego zdjęciem.

Arthur jedną ręką przycisnął je do piersi. Zaszło mu w ustach, jeszcze zanim na nie spojrzał.

Zdjęcie było kiepsko oświetlone. Przedstawiało krągły kobiecy tyłek w białych bawełnianych majtkach. Ktoś umieścił w kadrze trzonek łyżki, którym ledwie szturchał pośladek. Koniec łyżki był podrapany i poczerniały od przypalania. Arthur poczuł, że kęs kanapki zalega mu na dnie żołądka jak kleista, brejowata gruda.

– Twoja matka ma słodki, mały tyłeczek, co? – spytała Jayne. – Wiem, że jest pastorką, ale jak człowiek widzi taką dupę, trudno nie mieć grzesznych myśli.

Chciał cisnąć w nią zdjęciem, lecz stał jak skamieniały i tępym wzrokiem gapił się na Ronniego i Jayne.

– Może nie wierzysz, że to jej tyłek. Zresztą byłoby chore, gdybyś potrafił rozpoznać matkę po jej dupsku. Masz. Tutaj widać twarz. – Odstawiła butelkę piwa Coors, ześlizgnęła się z maski i wręczyła mu kolejne zdjęcie.

Arthur chwycił dwoma palcami jeden róg, podczas gdy ona trzymała drugi.

Tu matka leżała na boku; oczy miała zamknięte, głowę przyciśniętą do cienkiej poduszki. Czyjaś ręka trzymała zaostrowany czubek łyżki przy jej twarzy, tuż pod prawym okiem.

Jayne wyrwała mu zdjęcie.

Arthur wbił w nią wzrok; twarz mu płonęła, jakby dziewczyna go spoliczkowała.

– O rany! – zawołał Ronnie. – Koleś jest wściekły. Tylko na niego popatrz!

– Nie jest wściekły – sprostowała. – Zaraz się rozbeczy. Prawda, Artie? Będziesz płakał?

– Popełniacie kurewsko wielki błąd – warknął Arthur.

Tylko że to on popełnił błąd, w ogóle się odzywając. Głos miał tak spięty, że tamci dwoje parsknęli śmiechem. Jayne śmiała się tak bardzo, że straciła równowagę i żeby nie upaść, musiała oprzeć się o maskę Ranchero.

Rękawem bluzy otarła łzy.

– Och, Artie. Zabawne. To takie zabawne.

– Jeśli wasza matka choćby zbliży się do mojej mamy... – zaczął Arthur, ale mu przerwała.

– Bez obaw. Moja matka trafiła na miesiąc do izolatki, bo ty musiałeś zgrywać rycerza na białym koniu. Siedzi w klitce, w której światła palą się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet jak robi dwójkę, ktoś obserwuje ją przez kamerę. – Jayne machnęła zdjęciem. – To nie moja matka trzyma nóż. Daphne Nighswander nie zbliżyła się do twojej mamusi i wcale nie musi tego robić. Widzisz, w przeciwieństwie do twojej matki moja ma przyjaciółki. Nie jest protekcyjną dziwką z college’u, co to myśli, że jest mądrzejsza od wszystkich. Moja matka nie zakłada klubów książkowych. Odsiadywała swoje, a ty zadbałeś o to, żeby jej pierwsza szansa na zwolnienie warunkowe poszła się jebać. Ale to nic. My nie jesteśmy z tych, co chowają urazę. Wiesz, co mówi moja matka? Każdy problem to okazja.

– Hej – odezwał się Ronnie. – Będziesz to jadł? – Wskazał na kanapkę.

Arthur pokręcił głową, bo obawiał się, że jeśli się odezwie, znowu zabrzmi jak bohaterowie filmu *Alvin i wiewiórki*. Ronnie wyjął mu kanapkę z rąk.

– Oddychaj głęboko, Artie – poradziła Jayne. – Nikt nie skrzywdził twojej mamusi. Ona nie ma o niczym pojęcia i wcale nie musi wiedzieć. Ale jeśli chcesz, żeby dożyła końca odsiadki, musisz z nami współpracować. – Wsunęła rękę do kieszeni bluzy i wyjęła złożoną kartkę z gazety. Rozłożyła ją i mrużąc oczy, przeczytała: – *Do College’u Rackhama przybywa przyszłość.*

Na dźwięk tych słów Arthur poczuł, że ogarnia go zgroza. Jayne odwróciła gazetę, żeby mógł zobaczyć zdjęcie dołączone do artykułu. Główny bibliotekarz, pan Meckfessel, stał z jedną ręką na monitorze nowego IBM-a, poklepując go czule jak głowę posłusznego małego dziecka. Stojący za nim bibliotekarze uśmiechali się do obiektywu. Z nich wszystkich Arthur najbardziej rzucał się w oczy. W rozpinanym swetrze, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, lekko zadartą brodą i uśmiechem wyglądał jak stuprocentowy nerd.

– Zamierzałeś pochwalić się mamusi, że twoje zdjęcie było w gazecie? To słodkie. Tutaj piszą, że jesteś starszym pomocnikiem bibliotekarza i że masz dostęp do czegoś, co nazywasz „kolekcją specjalną”, bo robisz in-wen-tary-zację i wprowadzasz wszystko do komputera.

To prawda, że macie tam pierwsze wydanie *Przygód Hucka Finna*? Ile warte jest coś takiego?

– Nie wiem – odparł Arthur. Ścisnęło go w żołądku i było mu niedobrze. – Pewnie niewiele. Jest ich całe mnóstwo.

Jayne pokiwała głową z rezygnacją, po czym podeszła do niego, położyła mu dłoń na czole i pchnęła go tak, że uderzył głową w ceglana ścianę. Butelka Coli wypadł mu z ręki; napój, sycząc, wylał się na ziemię.

– Co powiesz na sześć koła, kretynie? – warknęła. – Nie pogrywaj ze mną. Mogę załatwić, że jakaś ćpunka potnie twojej mamusce buźkę, a strażnik będzie stał i pilnował, żeby nikt im nie przeszkadzał. Chcesz, żeby wróciła do domu ślepa?

– To kłamstwo. – Głos Arthura był niewiele głośniejszy od szeptu.

– W którą część nie wierzysz? Tę o ćpuncie i strażniku? Jak myślisz, skąd mam te zdjęcia? Jest mnóstwo facetów w granatowych mundurkach, którzy chętnie dorobią na boku, a przy okazji popatrzą, jak szurnięte dziwki rozrywają się na strzępy. Klawisze zarabiają jeszcze gorzej od gliniarzy, zresztą mam też kilku znajomych gliniarzy. Niektórzy z nich przychodzą do Shut-Up-And-Eat-It na pizzę albo Colę, a przy okazji dostają pod stołem dwieście dolców, żebyśmy mogli handlować tu trawą i PCP.

Tylne drzwi pizzerii otworzyły się i na parking wyszła Tana. Rzuciła Arthurowi obojętne spojrzenie.

– Skończyłam zmianę – oznajmiła. – Możemy się zbierać? Mam robotę.

Jayne złapała ją za rękę i odwróciła twarzą do Arthura.

– Zaraz – warknęła.

Tana nie patrzyła na Arthura, ale siostra nadal trzymała ją za rękę.

– Hej, Artie, czaję, że jesteś wkurzony. Jak chcesz się wyżyć, możesz przywalić mojej siostrze. Gdyby nie ona, miałbyś święty spokój. Kilka tygodni temu ta kretynka zobaczyła przed domem radiowóz... policji stanowej, nie naszych zaprzyjaźnionych gliniarzy... i wrzuciła do pieca paliwo rakietowe warte sześćdziesiąt kawałków.

– Paliwo rakietowe? – spytał Arthur. Potrafił czytać w staroangielskim i znał trochę irlandzki, ale Jayne mówiła w języku, który był mu całkiem obcy.

– Anielski pył, PCP. Co najmniej sześćdziesiąt tysięcy. Jak by go dobrze podzielić, może nawet zarobilibyśmy trzy razy tyle. Mówię ci, mama strasznie się wkurzyła. – Jayne rzuciła okiem na artykuł, który Arthur wyciął z „The Podomaquassy Record”. – A co z listem od Walta Whitmana? Gość jest sławny, nie?

– Nie mogę – jęknął.

– Myślę, że możesz. Przecież nie trzymają ich zamkniętych w żadnym skarbcu. A poza tym tutaj jest napisane, że masz do nich dostęp. – Ostatnie słowo wypowiedziała z ogromną przyjemnością, jakby miało w sobie erotyczny podtekst.

– Nawet nie sprzedacie czegoś takiego jak list Whitmana. Kolekcjonerzy nie kupują rzadkich i cennych dzieł, jeśli nie wiedzą, skąd pochodzą. To się nazywa proveniencja.

– Nikt nie spyta o *Hucka Finna* – wtrącił Ronnie z ustami pełnymi kanapki. – Pierwsze wydania? Na rynku jest ich mnóstwo. Walta Shitmana będzie trudniej spylić, chociaż znam staruszkę z Bostonu, która mówi, że może...

– Hej, Ronnie – przerwała mu Jayne. – Jedz kanapkę i zamknij się, do cholery.

Machnął przepraszająco ręką.

– Sprzedamy wszystko, co przyniesiesz – powiedziała Jayne. – I nie jesteśmy chciwi. Musimy uporządkować sprawy z pewnym gościem, a on da nam czas na zebranie kasy. Jak tylko dostanie swoje sześćdziesiąt koła, twoja matka będzie miała spokój.

– Mam ukraść... książki warte sześćdziesiąt tysięcy dolarów z Biblioteki Brooksa? – spytał Arthur. Płuca paliły go z przerażenia. – Nie mogę tego zrobić. Ktoś mnie złapie.

– Nikt cię nie złapie. Nikt nawet nie zauważy. To jak pochować kogoś z klejnotami, pierścionkami czy innym gównem. Po co ludzie w ogóle robią coś takiego? Po co komuś bogactwa pod ziemią? Tak samo jest z książkami. Są zakopane w bibliotece. To dopiero prawdziwa zbrodnia. Kasa, która stoi na półkach i zbiera kurz. Zajumaj coś przed weekendem. Tylko coś dobrego. Tana wpadnie do ciebie w niedzielę po południu i odbierze towar. Jak zdobędziesz odpowiednie książki, przed świętami będzie po sprawie.

Jayne poklepała siostrę po głowie, po czym odwróciła ją i pchnęła w stronę samochodu. Tana otworzyła drzwi od strony pasażera, przesunęła fotel do przodu i nie oglądając się za siebie, usiadła z tyłu. Jej siostra stała, trzymając drzwi otwarte.

– Hej! – rzuciła. – Wiesz, że twoja matka założyła klub książkowy i dzieli się bogactwami literatury z niebezpiecznymi degeneratkami? Ty będziesz robił to samo. Będziesz miał własny klub książki... i z każdą książką będziesz nas wzbogacał. To nie zbrodnia. To służba publiczna.

Ronnie skończył kanapkę, dopił piwo i cisnął pustą butelką w latarnię, która nijak nie pasowała do krajobrazu. Wyglądała jak żywcem wyjęta z Londynu Sherlocka Holmesa. Butelka uderzyła w nią z satysfakcjonującym łoskotem. Ronnie przeciągnął się i spojrzał przez przednią szybę na dziewczyny czekające w Ranchero. Odwrócił się do Arthura z cwany uśmieszkiem i pokręcił głową.

– Muszę odwieźć panie do domu. Nie bądź taki smutny, Artie. Mogło być gorzej. Będziesz musiał z nimi żyć.

Ranchero ruszył tak gwałtownie, że spod kół prysnął żwir. Kilka grudek uderzyło w ścianę, a jedna trafiła Arthura w gołęń. Nawet nie drgnął, nie miał pojęcia, że coś mu się stało, dopóki nie zdjął butów i nie odkrył, że jedna skarpetka jest mokra od krwi.

Jakby tego było mało, dopiero rano następnego dnia uświadomił sobie, że Jayne Nighswander nie oddała mu bluzy.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).